OMNIUM

0.60

Le mie prigioni IV

57/50

A. 8

Więźniowie mówili sobie, że to osobliwsze ułaskawienie należy przypisać nie zabiegom p. Kotkowej, lecz ordynarnemu faktowi, iż w Morawskiej Ostrawie nie ma szubienicy.

Zwracał na siebie uwagę młodzieniec lat 19 lub 20, wysoki, smukły, niedostępny, o podłużnej, śniadej twarzy i bardzo pięknym orlim nosie. Duże, czarne oczy patrzyły zawsze poważnie, może ponuro. Nie widziałem go nigdy z bliska, więc spojrzenia określić nie umiem. Mogło być także złem i okrutnem - zdaleka wyglądało na dumnie pogardliwe. Nosił zazwyczaj płaszcz gumowy i dżokejkę koloru bronzowego, a całe wzięcie się miało jakąś naturalną elegancyę, miarkowaną przez jakieś zamknięcie się w samym sobie, czy odpychającą pogardę. Mógł być niezwykłym bohaterem romansu, lub zbrodniarzem, do szpiku kości zepsutym. Nazywał się Wiktor Pilczowski lub Piliczowski (urzędownie nie stwierdzono właściwego brzmienia jego nazwiska), rodem z gubernii łomżyńskiej. Siedział w śledztwie pod zarzutem należenia do rosyjskiej Ochrany.

Prawnie stawianie go pod sąd za to nikczemne zajęcie, było nieuzasadnione. Jako obywatel rosyjski (mówię z punktu widzenia austryacko międzynarodowego, nie polskiego) miał prawo służyć swojemu państwu, jak mu się podobało, a rząd austryacki nie miał prawa ścigać go za tę „lojalną" służbę. Rząd austryacki natomiast miał prawo internować go, żeby udaremnić ewentualne szkodzenie

interesom austryackim przez zbyt gorący jego rosyjski patryotyzm. ~~Rozporządzenia wojenne nie mogły się odnosić do niego, ponieważ został uwięziony na długo przed wojną.~~

Omawialiśmy tę sprawę niejednokrotnie między sobą. Odłączaliśmy dwie kwestye to jest polską i austryacką. My jako Polacy czuliśmy własne prawo do potępienia tego człowieka, jeśliby zarzut uczyniony mu był prawdziwym, ale odmawia=liśmy rządowi austryackiemu prawa do sądzenia go. Mnie znowu w głowie pomieścić się nie chciało, żeby tak młody czło=wiek mógł już tak nisko upaść, być tak do dna duszy zbutwiałym. Patrzyłem więc na niego zdaleka, z uczuciem obrzydzenia i cie=kawości, wprost niezdrowej. Donoszono mi jego odezwania się rzadkie, śledziłem jego zachowanie się i odkrywałem jakąś szlachetność postawy i myśli, która nie chciała mi licować z jego szpiclowskiem rzemiosłem. Człowiek ten był i pozostał dla mnie zagadką do dzisia, mimo austryackiego wyroku.

Razem z nim chodził mały, ruchawy, rudawy Zygmunt Bar, jego towarzysz celi. Naraz rozeszła się pogłoska, że ten Bar, nie wiem za co zamknięty, zażądał widzenia się z audi=torem i oskarżył Pilczowskiego, iż go namawiał do wstąpienia w szeregi ochrany.

Inni więźniowie tłumaczyli, iż Pilczowski nie zaczął nigdy wypierać się niczego. Pytany, odpowiadał z łaski tyle, ile było koniecznie potrzeba. Gdy go Bar zapytał, czy należy do Ochrany, nie zaprzeczył. Zaczem tamten pytał go, jak to się

można dostać do Ochrany, a Pilczowski mu to wyjaśnił. Przytaczam opowiadania moich współwięźniów, nie biorąc za nie odpowiedzialności i przyznając z góry, że to przedstawienie sprawy może być fałszywem. Zaręczam tylko, że ta grupka więźniów, z którymi się stykałem, w sposób opisany przeważnie przedstawiała sprawę i że jej opowiadania przytaczam wiernie.

Otóż więźniowie nietylko polityczni ale i przestępcy pospolici uznali Bava za denuncyanta, a nawet za agenta prowokacyjnego, odsunęli się od niego zupełnie tak, że musiał postarać się o przeniesienie do innego więzienia, zwanego „Oderschacht." Było to więzienie filią naszego, chociaż znacznie większe.

Na dzień rozprawy przyprowadzono Bava jako świadka i Pilczowski, za namawianie do wstąpienia w Ochranę, został skazany na śmierć i rozstrzelany u nas. Długo nie mogła mi wyjść z pamięci tak przepiękna twarz młodzieńca o spojrzeniu bohaterów bajronowskich, twarz nadająca się do medalionów i do rzeźby, a równocześnie nie wytworzyłem sobie o nim żadnego zdania i ta postać przesunęła się przez moją pamięć jako męcząca zagadka nierozwiązana.

Wyrok, ogłoszony w „Mährisch Ostrauer Zeitung" nie rozwiał bynajmniej moich wątpliwości. Sąd wojskowy, przyjmując

ten zbrodniczy zamiar za ustalony powoływał się w wyroku na oskarżenie i świadectwo jedynego Zygmunta Bara i nawet pomijał kwestyę, czy ten jedyny świadek zrobił na nim wrażenie wiarygodnego. W ten sposób tekst wyroku składał śmierć Pilczowskiego wyłącznie na Bara, którego w krótkiem zdaniu dwa razy wymieniał.

Prawnie był ten wyrok zbrodnią, bo wedle ustaw świadek, zostający w śledztwie o inną zbrodnię, nie zasługuje na wiarę - czyli przeciw Pilczowskiemu nie było żadnego potępiającego dowodu. Nie mówiąc o tem, że ustawa domaga się obciążenia przez dwóch wiarogodnych świadków. Sąd zaś wyminął nawet tę kwestyę, czy nabrał osobistego przeświadczenia o ~~winowajstwie~~ winie Pilczowskiego lub o wiarogodności Bara. Prawda, że to było jeszcze w okresie, kiedy sądy wojskowe miały polecenie sądować z największą srogością.

Opowiadano, że sędzia auditor Dr. Caro z oburzeniem czynił Pilczowskiemu wyrzuty, jak mógł jako Polak przystać do Ochrany. A na to obwiniony miał mu powiedzieć:

- A jak pan jako Polak możesz służyć rządowi austryackiemu? Czy rosyjski czy austryacki rząd jedno są warte: oba są zaborcami.

Toteż do dzisia nie ~~umiem powiedzieć, czy~~ wyrobiłem sobie zdania, czy Pilczowski naprawdę był członkiem Ochrany. Możliwem jest bowiem, że tylko nie raczył odpierać zarzutów.

i nie chciał zniżać się do wymówek, usprawiedliwień, dowodzenia niewinności przed sądem, którego kompetencyi nie uznawał. Ale i druga wersya jest także możliwa.

Wkrótce przyłączył się do mnie szykowny pan w krynice, w futrze krojem świtki, czyli czamary i nawet w kamaszach. Nazywał się Srokowski. Pochodził ze Sosnowca, gdzie zajmował jakieś wpływowe stanowisko. Gdy Moskale Sosnowiec opuścili, żeby nad Nidą, lub Wisłą, stawiać opór, zanim oprą się na linii twierdz Kowno-Grodno-Brześć-Dubno-Równo, p. Srokowski utworzył za wzorem warszawskim Komitet obywatelski w Sosnowcu i został jego prezesem. W bezpańskim czasie sprawował rządy gubernatorskie, w imieniu nieistniejącej, ale upragnionej polskiej administracyi. Widząc, że sympatye polskiej ludności w całem zagłębiu sosnowiecko dąbrowskim zwracają się ku Austryi, zatrwożył się o całość obywateli. Rosya nietylko nie była pobita, ale przygotowywała ogromny pochód naprzód od Bałtyku do Karpat, chcąc rzeczywiście odegrać rolę tego walca, który druzgoce wszystko po drodze, a ma na tej oznaczonej szerokości zatoczyć się do Berlina. Powrót Rosyan, a raczej zbrojne ich wkroczenie do Sosnowca wydawało się tylko kwestyą czasu. Panu Srokowskiemu chodziło więc przedewszystkiem o to, aby ludność tamtejszych okolic przez folgowanie swoim sympatyom i antipatyom nie narażiła się na zemstę nadchodzącej Rosyi. Dlatego

w czasie nieobecności wojsk obcych rozplakatował po mieście rosyjskie ustawy wojenne, zagrażające śmiercią każdemu, ktoby wysługiwał się w jakikolwiek sposób wrogom państwa rosyjskiego. W tych plakatach wstrzymał się od wszelkich wyjaśnień ze swojej strony, aby go nie okrzyczano za moskalofila. Chodziło mu wyłącznie o powstrzymanie współobywateli od kroków, któreby przy spodziewanem nadejściu wojsk rosyjskich mogły spowodować rzezie ludzkie.

Austryacy po wkroczeniu w te strony uznali za najpilniejszą czynność rozwiązanie Komitetu obywatelskiego i uwięzienie jego prezesa. Byli obrażeni za to, że p. Srokowski śmiał przypominać ludności jej międzynarodowo jurydyczne położenie, które wobec wojsk austryackich nakazywało pewną rezerwę, nieangażowanie się zbyteczne.

Toteż p. Srokowski był niezmiernie zdumiony tem, co się stało. Uważał bowiem, że z punktu widzenia międzynarodowego był tak poprawnym, że także od Austryaków zasługiwał na uszanowanie i uznanie. Zwrócił się więc z temperamentem do mnie, jako do austryackiego posła, abym mu wyjaśniał rzeczy z punktu austryackiego i polskiego.

Jego wywody dałyby się pokrótce ująć w następujące rozważania:

„My Polacy z Kongresówki mamy duże sympatye do Austryi. Chociaż przeważna część nie bierze za prawdę pogłosek,

jakoby Austrya uznawała za swój interes odbudowanie Polski pod Habsburgami, to sam fakt, że w austryackim zaborze wolno myśleć, czuć, mówić i działać po polsku, budził w naszych duszach dużo uczucia życzliwości dla Austryi, oraz ~~a~~ pragnienia, żebyśmy się mogli dostać pod Austryę.
Zwłaszcza my z pogranicza, który przejeżdżamy wywczasy letnie w górach żywieckich, myślenickich, nowotarskich lub śląskich, ~~zachowali~~ wynosiliśmy z tych corocznych pobytów na letniskach wielki zapas uczucia, poprostu przywiązania i zaufania do Austryi.

Dlaczego ta Austrya nie wykorzystała tych uczuć? Dlaczego nie zwróciła się do narodu z obietnicą anektowania Kongresówki na ~~zas~~ podstawach, na jakich Galicya jest z nią złączona?

Czekaliśmy na słowo, ale ono nie przyszło. Natomiast przysłano nam agitatorów od strzelca, którzy nie umieli nic powiedzieć o zamiarach Austryi wobec Polski na przyszłość, ale zato ~~zachęcali nas do werbowania się~~ werbowali nas do legionów. A byli to ci sami ludzie, którzy w roku 1905. przezywali orła polskiego białą gęsią, a Polskę więzgdnicą narodów i pragnęli u nas zrobić rosyjską rewolucyę na korzyść żydowskich agitatorów. Nic dziw, że ci emisaryusze nie znajdowali u nas wiary. Przeciwnie uważaliśmy, że jeżeli oni przychodzą do nas przytem z ramienia

Austryi, czy tylko za jej zezwoleniem, tem zezwoleniem, którego ona może odmawiać przedstawicielom innych Kół społeczeństwa czy partyi, to widocznie sprawa polska jest w Austryi rozpatrywana z punktu, nie odpowiadającego uczuciu Polaków. Stąd pochodziło u nas uczucie zawodu i rezerwa wobec wkraczających wojsk austryackich, rezerwa zresztą bardzo życzliwa. Chcieliśmy pokazać nasze dobre chęci, ale nie chcieliśmy się narażać na ewentualne represye rosyjskie.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego rozwiązano Komitet obywatelski? Dlaczego mnie, jako prezesa, postawiono przed sąd austryacki, skoro ja prawnie jestem rosyjskim obywatelem? Czy pan wie, że postanowiłem oprzeć się na tem mojem rosyjskiem obywatelstwie, choć go wykrztusić nie mogę, bo się brzydzę tem piętnem hańby niezasłużonej i choć wolałbym, mimo narzuconej rosyjskiej przynależności, rzucić się Austryi w ramiona?

Dlaczego?"

Pytał niespokojnie i czynił nam galicyjskim Polakom wyrzuty, że nie umieliśmy otworzyć oczu austryackiemu rządowi, ani wskazać drogi rodakom zzakordonu, lecz zostawiliśmy ich bez wskazówek.

Moja odpowiedź dałaby się streścić w następujących wyrazach:

„Mimo bitwy pod Sadową Austrya, wyrzucona z Rzeszy niemieckiej, uważa się za państwo niemieckie i pracuje tylko dla niemczyzny. Marzeniem jest twierdzenie Palacky'ego, że gdyby Austryi nie było, należałoby ją stworzyć jako oparcie dla małych narodów, nie mogących istnieć o własnej sile. Palacky pragnął takiego systemu rządowego, ale rząd austryacki uważa monarchię za ekspozyturę cesarstwa niemieckiego, wszystkie zaś ludy nieniemieckie za pognój, za materyał do germanizacyi. Niemcy przerabiają Francuzów, Duńczyków i Polaków wprost na Niemców, Austrya demoralizuje ludy nieniemieckie i stwarza z nich półfabrykat, który później w niemieckim warsztacie ma zostać wykończonym na urgermański towar „prima Qualität."

Dowodem na to jest powiedzenie cesarza Franciszka Józefa do arcybiskupa Strossmayera, że Habsburgowie wolą stać na straży przed namiotem cesarza niemieckiego niż być imperatorami słowiańskimi; a drugim dowodem jest odrzucenie przez tego samego cesarza, porozumienia się z Królem Edwardem, które mogło zapobiedz dzisiejszej wojnie przez odosobnienie agresywnych Prus.

Z tego zasadniczego wyjścia wynika stosunek Austryi do Polaków. Po przegranej wojnie włoskiej w 1859 i pruskiej w 1866 politycy wiedeńscy zobaczyli, że monarchia nie da się od razu

zgermanizować. Rozłożyli więc zadanie na raty. Naprzód zgodzili się na dualizm, wskutek czego prawie połowa monarchii wydostała się zpod groźby germanizacyi, aby uledz madziaryzacyi. W samej zaś Predlitawii zaprowadzono również stopniowanie. Kraje alpejskie i sudeckie miały iść na pierwszy ogień niemczyzny. Stąd Galicya, jako niestykająca się bezpośrednio z niemczyzną, pozostała na uboczu. Nie chodzi tu o naród polski, tylko o obszar ziemi. W Galicyi przyznano Polakom pewne prawa, ale z pogwałceniem konstytucyi i ustaw zasadniczych odmówiono tych praw Polakom na Śląsku. Mimo, że w Cieszyńskiem Polaków jest więcej niż Niemców i Czechów razem, zarząd kraju, szkoły i sądownictwo są niemieckie. Nie pomoże wybieranie kilku polskich posłów, nie pomogą ich rozpaczliwe zabiegi, które na zewnątrz zaznaczają się wstępowaniem i występowaniem z wiedeńskiego Koła polskiego: Cieszyn, przyległy do zgermanizowanych Sudetów, jest w pojęciu wiedeńskiem krajem niemieckim lub co najwyżej krajem, który wkrótce musi niemieckim zostać. To jedna strona austryackiego polonofilstwa. Druga odnosi się do Galicyi, w której rząd rozdmuchał i rozjątrzył walkę z Rusinami, aby Polaków całkiem ubezwładnić. Dziś sympatye polskie są na rękę temu rządowi, ale zabiegać o nie nie chce, by sobie rąk na przyszłość nie wiązać. Tem więcej, że jest pewny zwycięztwa Niemiec i tylko z Niemcami

Austrya zamierza rokować o podział łupów, ale tak, aby wszystko zakończyło się korzyścią niemczyzny. Stąd do wyzyskiwania polskich sympatyi używa się czynników nieodpowiedzialnych, bo się pragnie, żeby Polacy czynili Rosyi dywersyę, nieporządek i kłopoty, a że przytem mogą ginąć krociami, to już drobnostka. Polaków ceni się mniej niż Malisorów, albo jakichś murzynów, którzy za szczęśliwych powinni się uważać, jeżeli się ~~dadzą im do sposobności~~ będą mogli dać wyrżnąć za Austryę."

Tego rodzaju wyjaśnienia nie przypadały do smaku p. Srokowskiemu, który niechętnie pozbywał się austryackich illuzyi. Ale ich się pozbyć musiał, gdy przy śledztwie, aby ratować życie, musiał powoływać się na swoje rosyjskie obywatelstwo, którem się brzydził. Jego czysto polskie stanowisko nie pomagało mu w tej Austryi, która chciała, żeby ją Polacy uważali za swoją ostoję. Po kilku tygodniach śledztwa p. Srokowski został wywieziony do Kończyc na Śląsku i umieszczony w obozie koncentracyjnym. Nie darowano mu tego wykroczenia, że nie chciał zachęcać swoich spółrodaków do szpiegowania na rzecz Austryi i zasługiwania w ten sposób na rosyjską szubienicę. A w tem austryackiem samolubstwie było tyle ślepoty, iż naprawdę uważano takie postępowanie za brak patryotyzmu polskiego.

Ciekawe były przejścia rządowego lekarza powiatowego

z Mährisch Schönberg (nazwiska czeskiego miejscowości nie znam), Drª Hrstki. Był to najwyższy obok starosty c. k. urzędnik powiatowy, którego c. k. żandarm powiatowy zadenuncyował, że wziął udział w jakimś czeskim bankiecie, podczas którego wygłaszano rusofilskie a antiaustryackie mowy. Dr Hrstka zapewniał, że żadnego czeskiego bankietu nie było wogóle, a w dniu oznaczonym on sam znajdował się daleko od Schönbergu na jakiejś czynności służbowej. Stawiał na to świadków oraz prosił o przeglądnięcie protokołów urzędowych. Nic to nie pomagało – sąd ani aktów ani świadków nie chciał badać, bo oskarżenie wniesione przez c. k. żandarmeryę samo jedno mu wystarczało. Rodzina Drª Hrstki rozpoczęła w Wiedniu zabiegi nie o jego uwolnienie, lecz o łaskę przesłuchania świadków. Sąd wojskowy wyznaczył ~~dzień~~ rozprawę bez zadośćuczynienia tej prośbie, która była wistocie najpierwotniejszem i naturalnem jego prawem.

Rozprawa trwała dwa dni. W pierwszym rzecz wyglądała tak, że Dr Hrstka będzie powieszony. Sprowadzeni przez rodzinę świadkowie zgłosili w sądzie, że są w mieście i proszą o przesłuchanie, ale sąd nie skorzystał z ich gotowości. Na drugi dzień przyszedł rozkaz – czy od jenerała Mattuschki czy z Wiednia – aby świadków przesłuchać. Od razu wyszło na jaw, że żandarm oskarżenie zmyślił, mając jakąś złość do „fizyka". Zaczem Drª Hrstkę uwolniono, a oskarżono żan-

darına, który w kilka miesięcy później został skazany na kilka lat więzienia i degradacyę. Jest ten wypadek znakomitym przykładem samowoli sądów wojennych w Austryi. Gdyby Dr Hrstka nie miał wpływowych znajomych, do których zwracała się rodzina, gdyby niewezwani świadkowie nie byli przyjechali, byłby niechybnie wisiał na skutek rozmyślnej złośliwie denuncyacyi. Ilu ludzi straciło życie za to tylko, że nie rozporządzali tymi ubocznymi środkami obrony! Tej krwi niewinnej należy szukać na sumieniu cesarza Franciszka Józefa i jego pomocników: arcyksięcia Fryderyka i ministrów hr. Stürgkha, D^ra Hochenburgera i barona Georgi'ego.

Ilekroć wyszliśmy na przechadzkę, zatrzymywał się przy drzwiach starszy żyd, który nigdy z nami w kółko nie chodził. Stał przez cały czas przy drzwiach i cicho jęczał jak trzmiel brzęczący. Był to Abraham Schimmel z Tęgoborzy koło Nowego Sącza. Był właścicielem czy dzierżawcą folwarku. Kozacy napadli na dwór i chcąc się uraczyć w spokoju, zagrozili śmiercią jemu i całej rodzinie, oraz spaleniem całego folwarku, gdyby nie chciał stanąć przy drodze i przestrzedz bawiących się o ewentualnem zbliżaniu się austryackiej patroli. Przestraszony Schimmel spełnił rozkaz, a że patrol austryacka zbliżała się rzeczywiście, przestrzegł gościńców, którzy mieli czas uciec. Ktoś doniósł o tej jego zbrodni, którą uznano za zdradę główną i za szkodzenie

armii. Śledztwo trwało kilka tygodni i biedny człowiek, został skazany na śmierć i rozstrzelany u nas. Wyrok ogłoszono w gazetach. Przy tylu morderstwach za poszlaki i drobnostki musiano wykroczenie Schimmla uważać za jakąś bardzo jasną, murowaną zbrodnię, bo zredagowano wyrok niejako tryumfalnie. ~~Nie~~ Mało wyroków ogłaszano w gazetach - ten ogłoszono, a z jego brzmienia wionął jakiś ton osobliwy zadowolenia z siebie, jakoby mówił: „Patrzcie co za zbrodnia i zdrada - każdy nieuprzedzony musi wyznać, że za takie postępki nie może czekać co innego niż śmierć: nie dziwcie się więc, gdy się tylu ludzi zabija."

Ja miałem dla tego żyda wielką sympatyę. Nie mogłem więc dopatrzeć się ~~zbro~~ tej oczywistej zbrodni w jego postępowaniu. Działał pod przymusem, bo żyda, właściciela galicyjskiego, trudno podejrzywać o specyalną miłość do Kozaków. Nie zaszkodził w niczem armii austryackiej, skoro między oddziałami nie przyszło nawet do potyczki. Uratował co prawda nieprzyjaciół od zasadzki, ale ta była nieprzygotowaną, czyli nie popsuł żadnych planów. Za zbyt daleko posuniętą obawę o życie własne i rodziny można go było wsadzić do więzienia - zabicie wydało mi się drakońskiem.

Po egzekucyi przypadł śmiejący się cugsfirer do nas, aby opowiedzieć jego ostatnie chwile. Schimmel do końca nie mógł uwierzyć, żeby wyrok na nim wykonano. Po

odczytaniu w celi zaczął jęczeć w niebogłosy, chodzić jak waryat, wołać do nieba, lub pospiesznie powtarzać: ajwaj. Nie umiał zdobyć się na spisanie ostatniej woli, bo zrywał się i płakał. Gdy po dwóch godzinach takiej męki przyszli go brać żołnierze, rzucał się im do nóg, całował buty, czołgał się za ich stopami i żebrał o łaskę. Idąc na stracenie, trząsł się i powtarzał: aj waj. Zęby mu szczękały jak w febrze, gdy go przywiązywano i zasłaniano oczy, i przez całą chwilę ciszy aż do salwy jęczał bez przerwy: aj waj waj waj, aj waj waj waj. Podrwiwali z niego żołnierze, a że przez swój nieprzytomny strach psuł porządek, bili wleczonego na śmierć. ~~Odznaczył się szczególną nieludzkością feldwebel Brunner.~~ Straszny akt egzekucyi zostawił na tych zatwardziałych duszach wspomnienie tak komiczne, że nasz klucznik nie mógł się opanować ~~i po~~ ze śmiechu i przybiegł do nas, aby nam wśród zanoszenia się od rechotu opowiedzieć przebieg.

Nieludzkością wobec Schimmla odznaczył się feldwebel Brunner, również żyd. To też współwyznawcy zawiesili nad nim natychmiast pewnego rodzaju moralną banicyę czy bojkot, a wnet odkryli, iż ten pan był w handlowem pośrednictwie między niektórymi kupcami a więzienną kantyną, przy czem zarabiał zbyt wiele. Gdy się te szacherki wykryły, profos został usunięty, a feldwebel Brunner

odkomenderowany na front. Szkoda, że nie mogłem dowiedzieć się, czy wobec zbrojnych nieprzyjaciół był równie waleczny jak wobec bezbronnego skazańca.

Poszturkiwany i policzkowany Schimmel zaszedł sam na miejsce tracenia. Inaczej było z innym skazańcem, którego nie znam nazwiska ani przewinienia. Gdy go przyszli brać, zaczął się borykać z żołnierzami, bronić się do upadłego i wyczeć nieludzkim głosem, aż trzypiętrowe więzienie się trzęsło. Sprowadzono jeszcze kilku żołnierzy, którzy go obalili na ziemię, przygnietli kolanami i jakąś szmatą zakneblowali usta, zawiązawszy na karku. Potem skuli mu ręce i nogi, a łańcuchami przywiązali do żelaznego drąga. Widziałem z okna, jak dwóch żołnierzy w środku paradnego plutonu niosło drąg za oba końce, a na nim tobół czegoś, co było człowiekiem. Oniemiony kneblem prężył się na drągu zwieszony jak gąsienica. Widziałem też, jak go postawiono u słupa. Iponad szmat, któremi miał zawiązane usta i część nosa, błysnęło spojrzenie, którego do końca życia nie zapomnę. Słów nie mam na wypowiedzenie tego, co się w oczach mieściło. Strach, wściekłość: to za mało. Jakaś nieludzka okropność błysnęła, zanim i ją zawiązano i strzelono do tej kupy łachmanów. Widziałem to dobrze, bo był przecudny, pogodny dzień sierpniowy. W tym spojrzeniu dojrzałem też do obiędu dochodzący ~~bun~~ bezsilny

bunt społeczeństwa przeciw ohydzie mordowania. Szkoda, że Wiktor Hugo nie widział takiego ostatniego spojrzenia.

Tem wspomnieniem zabiegłem aż do sierpnia, uprzedzając wypadki. Ale że tkwi w pamięci, przyczepiłem je tutaj dla uzupełnienia obrazu.

Przesunęli się przez więzienie także niektórzy legioniści. Maryan Piechociński, obwiniony nie wiem na jakiej podstawie o szpiegostwo, siedział w śledztwie od września. Nie mogąc doczekać się rozprawy, chciał ją wymusić głodówką. Po sześciu dniach dobrowolnego postu stracił przytomność, więc przeniesiono go do celi szpitalnej i zaczęto sztucznie odżywiać. Gdy potem wyszedł na przechadzkę, strach było na niego spojrzeć. Wysoki blondyn wychudł tak, że były na nim tylko skóra i kości. Owijacze nie trzymały się laskowatych piszczeli, pozbawionych zupełnie łydek, a na szerokich ramionach bluza wisiała jak na poprzecznym kiju. Towarzysze celi opowiadali o nim, że mówi wieloma językami i odznacza się zdumiewającą umiejętnością w sprawach wojskowych. Na kilka lat przed wojną miał napisać rozprawę o potrzebie ufortyfikowania łańcucha Woroniaków koło Złoczowa, wykazując konieczność tej linii obronnej na północ od Dniestru celem przeszkodzenia Rosyi w zaborze Galicyi: inaczej Austrya będzie mogła tylko nieszkodliwie palcem kiwać zpoza Karpat. Ponadto

miał w innej rozprawie opracować plan powstania dywersyjnego na Podlasiu oraz za błotami pińskiemi. Wedle tych samych opowiadań te rozprawy, których trafność wykazał rozwój wypadków wojennych, miały teraz służyć jako materyał obciążający przeciw niemu. Nie mogłem wprawdzie zrozumieć, jakim sposobem te jego trafne przewidywania mogły służyć na potępianie, gdy wedle ludzkiej logiki powinny go były przedstawić jako troskliwego o przyszłość Austryi stratega, ale że logika austryacka chodzi innemi drogami niż ludzka, nie dziwiłem się bynajmniej. Zazdrość jakiegoś hemorroidalnego jenerała mogła kazać upatrywać szpiegostwo w planach udoskonalenia obrony Austryi.

Był to jedyny legionista, którego obwinienie miało podkład wyższy. Inni byli hańbą i zakałą w porównaniu z najbardziej wyuzdanymi żołnierzami armii austryackiej. Pamiętam sierżanta, który się dostał do kozy pod zarzutem kradzieży. Dzielił celę z kilku innymi, między którymi był żyd, któremu udało się zatrzymać przy sobie kilkanaście banknotów dziesięciokoronowych. Te zaczęły mu ginąć. Biedny kapitalista przyznał się przed zarządem więzienia do ukrycia pieniędzy przy sobie i prosił o pomoc w odszukaniu własności. Gdy najściślejsza rewizya osobowa nie przyniosła wyniku, a podejrzenie zwracało się przeciw owemu sierżantowi, feldwebel Brunner kazał mu się rozebrać, pochylić i pochwą

Klucznicy odróżniali „die Legionnäre im runden Käppchen" (maciejówka) od „Legionnäre mit vierkantiger Kappe"; spluwali z obrzydzenia na widok pierwszych.

zdołali wydobyć mu z kiszki odchodowej skradzione banknoty. Ukarano sierżanta degradacyą, ciemnicą, postem i żelazami.

Jak błahe powody wpędzały ludzi do więzienia, przykładem był jeden chłop z Bieńczyc, oskarżony o dezercyę. Miał twarz tak piękną jak model afisza wystawy krajowej, malowanego przez Stachiewicza; klatka piersiowa była naturalnie rozwinięta, natomiast króciuchne nogi były całkiem zmarniałe, że z trudem poruszał się na dwu kulach. A jednak posiedział kilka tygodni, zanim aktami stwierdzono, że nie był dezerterem, chociaż jedno spojrzenie bez oględzin lekarskich stwierdzało dowodnie, że nie mógł uciekać ani też nie potrzebował kryć się przed stawaniem do Komisyi asenterunkowej.

Spotkałem się też z moim szkolnym kolegą z Jarosławia p. Rojewskim. Był jakimś zarządcą w kopalniach sosnowicko-dąbrowskich, na części, okupowanej przez Prusy. Dawna granica była ~~na~~ szczelnie zamknięta, więc Polak żadnym sposobem nie mógł dostać się do bliskich Katowic na pruskim Śląsku. Ponieważ jednak kordon okupacyjny w tym trójkącie granicznym był równie trudny do przebycia jak stare granice, więc biedni Sosnowiczanie znaleźli się niejako w ~~intern~~ konfinacyi. A że na miejscu nie można było dostać wielu rzeczy, cierpieli nieraz dotkliwy niedostatek. Tak np. zabrakło mięsa i słoniny przez dłuższy czas.

P. Rojewski, spotkawszy pruskiego żołnierza, który regularnie jeździł do Katowic po sprawunki dla niemieckich oficerów, poprosił go o kupienie masła dla siebie. Gdy żołnierz stanowczo odmawiał takiej posługi dla cywila, p. Rojewski, aby go wzruszyć, powiedział:
– Taką przysługę mógłby pan zrobić austrjackiemu oficerowi rezerwowemu.

Masła mu nie kupiono, ale wrychle ~~wzięto~~ odwieziono go do polowego aresztu jako podejrzanego o niezgłoszenie się do służby. Oficerowie rezerwowi bowiem są obowiązani do służby do sześćdziesiątego roku życia. I wysiedział biedak koło dwóch miesięcy, zanim wykazał, że nie jest oficerem, a podobno także i w wojsku nigdy nie służył. Odpokutował za niepoważne zmyślenie, uczynione dla zmiękczenia zatwardziałej duszy pruskiego żołnierza, ~~ale masła~~

Dalsze moje dzieje.

Około połowy grudnia miałem więc polepszenie wiktu oraz gazety: „Kuryer polski", wychodzący w Ostrawie i „Mährisch-Ostrauer Zeitung." Surowo mi zabroniono pożyczania gazet dalej, pod groźbą cofnięcia pozwolenia. Żyłem jednak na równi z ~~pros~~ szeregowcami, zmuszony stawać do apelu, czyścić celę itd. Po odejściu p. Ligockiego do Kończyc na internowanie, nie długo zostałem sam na sam z Pospieszilem i jego nieodmienną opowieścią. Dano nam za trzeciego inżyniera

H. (umyślnie nazwiska nie wymieniam), chorego wenerycznie. W ciasnej celi czynił sobie otwarcie lecznicze zabiegi, co bynajmniej nie działało uspokajająco na nerwy i obawę przed zarażeniem się. Pan ten leżał cały dzień w ubraniu na wszystkich siennikach i co najgorsza, puszczał ciągle wiatry. Nietylko zaduch stąd pochodzący bywał nieznośnym – gorej, bo na popisy grzmiące wybierał chwile, kiedyśmy jedli. Ponadto nie ~~rozbie-raz~~ przebierał bielizny i zaczął się skrobać. Wojenne robactwo udzieliło się i nam obydwom. Pamiętam okropny dzień 17 grudnia, kiedy złowiłem pierwszy okaz. Zapłakałem prawdziwemi łzami pierwszy raz w życiu nad mojem poniżeniem, niedolą i tym zewnętrznym objawem ostatecznego upadku. Zwracanie uwagi temu niechlui nie pomogło, bo tylko się na nas obraził i przestał z nami mówić. Toteż zaczęliśmy prosić i klucznika i zastępcy profosa, aby nas od niego oddzielił. On zaś ciągle się upominał o stanowisko oficerskie. Jako zmobilizowany inżynier używał dwu gwiazdek porucznikowskich, będąc zatrudnionym przy budowie dróg wojskowych. Ale były to odznaki urzędnicze nie oficerskie. Stąd kłopot w zarządzie więzienia, który urzędniczych stopni nie uznawał. Do wyjaśnienia sprawy przeniesiono go do celi D^ra Hrstki, dając łóżko. Kiedy się wykazał kopertą, adresowaną z naczelnej Komendy armii, do siebie jako: „K. K. Oberleutnant", przeniesiono go między oficerów. Zarzucano mu jakieś malwersacye pie=

więźne. Odtąd w godzinie przechadzki oficerskiej widywaliśmy p. H. który sprawił sobie mundur porucznika, jak dumnie kroczył między swymi kolegami, ale szyję zachował brunatną.

Nam dano na trzeciego Jana Przewoźnika z Zarzecza na Śląsku. Był to bogaty gospodarz, który ponadto trudnił się budową tam i gościńców. Twarz intelligentna chłopa piastowskiego a charakter bardzo piękny. Tego osadzono w więzieniu jako wszechpolaka, podejrzanego o sprzyjanie Moskalom, a nawet donoszono, że ~~zaraz~~ zaraz po wybuchu wojny jeździł do Warszawy. Galicyaninowi możeby łatwiej uszły płazem takie zarzuty, ale dla Ślązaka była to najgrubsza zdrada stanu.

Przewoźnik, choć już siwy, był z nas najruchliwszy. Przyzwyczajony do czynnego życia, nudził się okropnie. Mówił, próbował leżeć, dla zabicia czasu kazał z kantyny przynosić rozmaitości, to znowu żądał widzenia się z sędzią śledczym, aby rozprawę przyspieszyć, a często miewał odwiedziny córki lub zięcia. Z rozmaitych przyczyn nie będę o nim szerzej pisał, powiem tylko, że przypadł mi bardzo do serca i że ~~zawiedłem~~ zawarłem z nim prawdziwą przyjaźń.*)

W pierwszej połowie grudnia, wyszedłszy na przechadzkę, spostrzegłem kilku znajomych z Bielska, między innymi sekretarza polskiego Zjednoczenia zawodowego robotników Józefa Biechowiaka i prof. Edwarda Borkowskiego. Biechowiak pochodził ze Śremu i został przez nas sprowadzony do Austryi

*) Pisano jeszcze w 1917 z zamiarem natychmiastowego ogłoszenia i stąd ta dziś zbyteczna powściągliwość.

na sekretaryat robotniczy. Borkowski był profesorem gimnazyalnym w Tarnopolu, a po rosyjskiej inwazyi przyciągnął za Radą szkolną do Białej.

Dowiedziałem się od nich, że auditor Dr Knopf bawił cztery dni w Bielsku, szukając na mnie dowodów winy, że przeprowadził rewizyę u mnóstwa osób, z któremi się znałem, że dziewięć zamknął w aresztach bielskich i że wystarczyło, ~~aby jakiś Niemiec wskazał~~ wskazano na kogoś jako na mojego przyjaciela, aby ten zaraz szedł do kozy. Niemniej uwolniono potem owych zamkniętych, aż tylko ich dwu przewieziono do Ostrawy.

Można było parsknąć ze śmiechu. Borkowski był nudziarzem, jakiemu podobnego nie spotkałem w życiu. Gadał ciągle, ale zawsze jakoby do siebie i o niczem nie umiał opowiadać, tylko o swoim rodzinnym Narolu. Ja uciekałem przed nim tak w Tarnopolu jak w Białej – ale że go nazwano moim przyjacielem, musiał odwiedzić kozę. I przesiedział w niej kilka tygodni, zanim przekonano się, że do polityki się nie mieszał i ze mną nie pozostawał w żadnych stosunkach, prócz przygodnej znajomości.

Gorzej było z Biechowiakiem. Sekretarzował w Zjednoczeniu, którego założycielem w Bielsku ja byłem. Należałem też do Rady nadzorczej Zjednoczenia. Przez to byliśmy w ciągłej styczności. Toteż trzymano go w kozie kilka miesięcy, póki nie odniósł się jako Wielkopolanin do Konsulatu pruskiego.

Wtedy już puszczono go w mig, bo przed Prusami wszystko się korzyło w Austryi.

Biechowiak przyniósł z sobą trylogię Sienkiewicza – a mimo iż powieści są zakazane w więzieniu, imię Sienkiewicza zdziałało tyle, że Oberjäger Cziżek pozwolił nam zatrzymać książki. Rozczytywaliśmy się też w nich na wyrwój i obracali od początku, zaledwie doczytaliśmy do końca. Ponieważ Przewoźnik miał słaby wzrok, czytałem mu z ochotą na głos i zapominaliśmy, że siedzimy w więzieniu.

Opowiadał też Biechowiak, że robotnicy w Bielsku i w Białej zaczęli się zmawiać po mojem aresztowaniu, aby urządzić strajk powszechny, póki mnie nie wypuszczą. Trzeba było nietylko perswadować, ale kłamać, aby ich odwieźć od niebezpiecznego kroku, bo wszystkie fabryki były pod zarządem wojskowym. Zmyślono więc, że ja zaręczyłem, iż mi się nic nie stanie i prosiłem ich o wstrzymanie się od niebacznego kroku. Można zrozumieć, jak wielką pociechą i otuchą napoiła mnie ta wiadomość.

Trzeba bowiem wiedzieć, że od wybuchu wojny nieraz wątpiłem we własne zmysły. Pierwszy raz zadałem sobie pytanie: „czy też nie jestem waryatem" na przedwojennem Kole sejmowem, kiedy słyszałem ludzi i starszych i odpowiedzialnych, gadających tak głupio i kłamiących zapał do

rachub tak nikczemnych i niegodnych, że ~~nie~~ czekałem czy mury sali nie zwalą się dla protestu. Ale kiedy widziałem, że wszyscy bez względu na wiek, stronnictwa godności, zajmują stanowisko, sprzeczne ze zdrowiem pięciu Klepek, powtarzałem sobie: „nikczemnicy lub waryaci" Wszelako nie mogłem, nie chciałem przypuszczać, żeby upodlenie doszło aż do takiego stopnia, a zatem wnioskowałem, że ja muszę być waryatem, gdyż trudno przypuścić, aby setka wybrańców należała do czubków. Dopiero przemówienia arcybiskupa Teodorowicza i prezesa Akademii Tarnowskiego, wychodzące z uczuć podobnych do moich, utwierdziły mnie w przekonaniu, że jeszcze nie straciłem rozsądku. Później, gdym się ujrzał odosobnionym, wyklętym narodowo, niejako piętnowanym przez wszystkich, zadawałem sobie nieraz to pytanie: czy ja jednak nie jestem waryatem? Uspokajało mnie pod tym względem zachowanie się moich przyjaciół w Krakowie. Choć to ludzie zależni i nie na wybitnych stanowiskach okazywali mi wielkie uszanowanie za moje nieprzejednane stanowisko: widocznie odpowiadało to ich uczuciom. A postrach był wówczas taki, że nawet przyznawanie się do znajomości ze mną było niebezpiecznem. Tem cenniejszem było to rozmyślne okazywanie mi szacunku.

Wzbudzenia nieraz podobne powątpiewanie i we własne

zmysły i wwartość już nie pracy dokonanej, ale zamyśleń, zatruwało mi duszę. Stąd ogromne pokrzepienie na wiadomość, że moje szczere chęci są podzielane przez innych.

Warto osobną wzmiankę poświęcić schludności. Zapisałem już, że w kilka dni po przybyciu poprosiłem o wydanie mi świeżej bielizny z własnego zapasu. Prośbę tę ponawiałem przez dziesiątki dni u klucznika za każdym razem, gdy drzwi celi otworzył, u zastępcy profosa Oberjägera, a raz nawet przychwyciłem feldwebla Brunnera. Obiecywano zawsze. Tymczasem chodziłem osmolony jak kominiarz. Kto zna powietrze ostrawskie zrozumie całą dosłowność tego porównania. Wreszcie upór przemógł. Wezwano mnie raz przed południem pod kancelaryę i Brunner wyniósł moją walizkę. Tłum żołnierzy i cywilów, widocznie masowo spędzonych, był taki, że trudno było na posadzce znaleźć tyle przestrzeni, aby walizkę otworzyć. Pochylony nad pudłem, dostałem kilka kopnięć od przechodzących i wyjęty garnitur położyłem na mokrych płytach, aby pudło zamknąć. W tym czasie jednak jeden z ciżby nadeptał mi moją bieluteńką bieliznę zabłoconym butem. Ale i to zabłocenie było niepokalaną czystością w porównaniu do sadzy, jaką na sobie nosiłem. Walizkę zabrano z powrotem do żelaznej skrzyni.

Niebawem zacząłem molestować ponownie o bieliznę.

Na szczęście robactwo rozplenito się w całem więzieniu. Łatwo to pojąć, gdy się zważy, że ani żołnierze ani ubożsi cywilni nie przywozili z sobą własnej bielizny, a ~~siec~~ siedzieli tygodniami. Znalazł się i jakiś rozkaz – bez rozkazu wojsko nie widzi niczego – o przestrzeganiu czystości. Na kilka dni przed świętami sam rotmistrz von Kościcki zaglądał do każdej celi, zadając stereotypowe pytanie:

– Haben Sie einen Wunsch, eine Beschwerde?

Skorzystałem z tej sposobności i poprosiłem o zezwolenie na zatrzymanie całej walizki w celi. Zgodził się i trzeba żyć w brudzie dłuższy czas, aby zrozumieć prawdziwie dziecinną radość, jakiej doznałem i na widok zapasów bielizny i na myśl, że będę mógł zachować trochę schludności.

Odwiedziny rotmistrza pojawiały się odtąd co tydzień. Klucznik otwierał celę i ryczał:

– Habt Acht!

Trzeba było stanąć prosto, a przez otwarte drzwi zaglądał gruby rotmistrz, za nim zaś w tyle napięci jak struny: Ciżek i Brunner, czasami sam sztabsprofos.

Pojawienie się masowe plugastwa miało i tę dobrą stronę, że raz na tydzień łaźnie więzienne były dostępne także i dla nieoficerów. Rozumie się, że to niewystarczało dla kilkuset więźniów, więc dopuszczano tych, którzy się

zgłaszali. Na scharakteryzowanie tłumu moich towarzyszy zanotuję, iż zgłaszających się było tak niewielu, że ja mogłem używać łaźni co dwa tygodnie. Częściej nie pozwolono.
Szło się pod nadzorem żołnierza służbowego do suteryn starego więzienia. Na ciemnym korytarzu spotykało się usadowionych obszarpańców i brudasów, którym żołnierz, zaimprowizowany na fryzyera maszynką zbierał włosy i brody. Te natychmiast palono. Wyfryzowani w ten sposób szli do dużej piwnicy betonowanej pod tusze, zazwyczaj zimne, bo szkoda opału, chociaż w Ostrawie węgla nie brak. Łaźnia ta była ohydnie niechlujna i miała wybite szybki. Kąpiel więc w zimie nie odznaczała się hygienicznością. Stały tam i cztery wanny, przeznaczone dla oficerów, ale żałościwie brudne. Niemniej zapłonąłem do nich wielką pokusą.
Tu pomógł mi Przewoźnik. Zaznaczyłem już, że był bardzo ruchliwy i przedsiębiorczy. Przedewszystkiem pozyskał Klucznika, którym był dalej p. Zugsführer Alois Matzke. Przewoźnik o dziesiątej rano kazał sobie przynosić herbatę z rumem i równocześnie płacił inną szklankę Matzkemu. Do obiadu i wieczerzy pijał piwo lub wino i zawsze jedną flaszkę fundował Klucznikowi. Ile razy zaś Matzke szedł w miasto, przychodził pytać się, czy nie życzymy sobie jakich sprawunków i

przynosił wszystko, czego można było dostać w kantynie, tylko w lepszym gatunku. Środki do pisania były surowo wzbronione i tych nie przynosił nawet ukradkiem.
Ja naśladowałem Przewoźnika w owem fundowaniu klucznikowi i byłem w łaskach. To też klucznik wyrobił nam jeżeli nie pozwolenie, to możność kąpania się w wannach.
Ale tam, chcąc dostać dobrą wodę, trzeba było żołnierzowi coś wetknąć. A tu człowiek ogołocony z grosza. Przewoźnik potrafił zatrzymać przy sobie nieco gotówki i mnie w nią zaopatrzył. Mieliśmy zatem kąpiel wyśmienitą.
Po zaprowadzeniu tz. schludności raz, kiedyśmy wyszli na spacer, kazano nam stać nieruchomo i odczytywano nazwiska. Wezwany szedł ku feldweblowi siedzącemu za pakami i dostawał tz. Propriełäty. Była to ordynarna szczotka, liche mydełko, nici czarne i białe itd. Nie chciałem tego brać, bo za pośrednictwem kantyny byłem zaopatrzony w lepsze nieco przybory. Darmo! We więzieniu wojskowem niecoficer jest szeregowcem i, chociaż cywil, musi „wyfasować”, „klinikajty,” bo taki „befel.”
Okazało się jednak, że nici były absolutnie nie do użycia: rwały się przy nawlekaniu w igłę. Brunner musiał nieźle skorzystać, przyjąwszy za dobre takie wybiórki. Ale rozkaz spełniony, a i przekonanie utwierdzone, że w Austryi nawet we więzieniu dba się o czystość, zdrowotność i porządek.

Pisałem już o zakopconem powietrzu w Ostrawie. Nie długo trzeba było czekać, a wilgotne ściany murów nasiąknęły tak sadzą, iż cała cela wyglądała jak zadymiona. Tylko w dawnych dymnych chatach można było oglądać tak czeluściowy kolor. Wtem rozeszła się wieść, że sam oberstabsarzt, czyli lekarz w randze pułkownika ma zwiedzić więzienie. Rwetes i krzyk zapanował niesłychany. Należało pobielić cele, wymyć podłogi, a równocześnie nie dopuścić, aby więźniowie odschludnianej celi nie siedzieli pod kluczem. Wystawanie raś, czy broń Boże przechadzanie się więźniów po korytarzu było wykroczeniem prawie świętokradzkiem. Udało się jednak ~~przeprowadzić~~ pokonać i tę trudność ku zadowoleniu władz więziennych. Rozepchano nas na kilka godzin po innych celkach, gdzie wprawdzie trudno było się obrócić, ale za to korytarz rozbrzmiewał tylko głuchym łoskotem kroków samotnego żołnierza na straży, a my siedzieliśmy pod kluczem i wszystko było w regulaminowym porządku. Tymczasem żołnierz zaimprowizowany na malarza pokojowego wybielił mlekiem wapiennem ściany naszej celi, ale tylko do połowy, bo wyżej nie mógł dosięgnąć improwizowanym pędzlem. Ze względów oszczędnościowych nie opłaciło się bowiem zarządowi więzienia kupić pędzel i zaopatrzeć go w długie stylisko – boć chodziło tylko o jednorazowe wybielenie na wizytację. Trzej inni areszanci wymyli podłogę zimną

wodą i wyszczotkowali, ale wysuszyć jej nie mogli, mając tylko dwa worki na oczyszczenie wszystkich cel tego piętra. Z oszczędności bowiem nie kupowano więcej szmat jak dwie na miesiąc dla jednego piętra. Miotła zaś była tylko jedna i sprawienie nowej szło drogą urzędową po komisyjnem stwierdzeniu, że stara jest już niemożliwa do użytku.

Na mokrą więc podłogę rzucono nasze sienniki i spędzono nas, a my depcąc po oślizłych deskach, wbijaliśmy butami sadzę w drewno, i tak podłoga przestała być czystą może w godzinę później. Jednakże rozkaz był wykonany, choć bez skutku.

Czekaliśmy na tego obersztabsarzta dni trzy, podczas których bywaliśmy przez klucznika alarmowani kilkakrotnie, aby się mieć na pogotowiu, bo już idzie, ale on nie przyszedł. Wystarczyło mu do zbawienia i pobrania dyet zwiedzenie szpitali i koszar, może nie wszystkich.

Bywały też i inne odwiedziny. Kilkakrotnie przychodził naczelnik sądu wojskowego major-auditor Bielski, blady z czarną brodą i wyrazem twarzy tak współczującym, że miało się ochotę zwierzyć mu jak ojcu wszystkie dolegliwości. Pytał każdego o przyczynę zamknięcia i notował życzenia. Te były równobrzmiące, bo każdy prosił o przyspieszenie swojej rozprawy, tak wszystkich gniotła zmora niepewności. Dobrotliwy ten tatuś, asystujący z urzędu

przy każdej egzekucyi, za „energiczne" prowadzenie sądu wojennego otrzymał później wysokie odznaczenie „na wstędze medalu waleczności" i gdy w 1915 odebrano Lwów, został tam przeniesiony, ~~jako wypróbowana i niezawodna siła dla masowego~~ mordowania „zdrajców."

Raz zwiedził więzienie jakiś jenerał, któremu kazano mówić: „Exzellenz" albo „Hoheit." Zapewne jakiś medyatyzowany książę w randze ~~jenerała~~ porucznika-feldmarszałka. Młody, niewielki, o kruczej grzywie na okrągłej głowie wyglądał w swojej ułance z baranim kołnierzem jak samowar pękaty na dwóch patyczkach. Ten także się pytał każdego, za co i odkąd siedzi? Naturalnie mój Ladislav Pospišil nie opuścił okazyi, aby z pospiechem, prawie bez oddechu opowiedzieć choć w streszczeniu swoje dzieje. Gdy się do mnie zwrócił z pytaniem, pod jakim zarzutem mnie uwięziono, odpowiedziałem krótko:

— Hochverrat.

Ekscellencya zrobił pół obrotu w lewo i pokazawszy mi szeroki grzbiet, zaczął mówić z Przewoźnikiem. Bardzo mi się ten gest i ruch Jego Wysokości podobał i stojąc twardo, gryzłem wargi, żeby nie parsknąć.

W opowiadaniu wygląda to na życie urozmaicone i wygląda fałszywie. Było to nudne, jednostajne, męczące życie. Rano o szóstej klucznik z końca korytarza podawał

donośne hasło dyżurnym, otwierając ich celę:
– Auf.
Oni zaś napełniali korytarz wrzaskiem:
– Auf!
Była godzina szósta rano, czyli w celi noc głęboka, rozjaśniona lampą elektryczną. Zaraz też otwierano po kolei wszystkie cele, skąd pod kurek wodociągu wybiegali ludzie z miednicą i dzbankiem. Gdy jeden się mył, inni składali sienniki na stos, wznosząc tumany kurzu, oraz zamiatali celę i czyścili buty na nogach. Szło to galopem, przy czem i okno było otwarte dla wywietrzenia.
Przewoźnik rychło zamówił sobie jednego z dyżurnych, aby mu czyścił buty na nogach, wsuwając za to 10 halerzy w rękę. Biedny areształt z wdzięczności za to zamiatał i celę. Ja wprawdzie nie pozwoliłem sobie nigdy czyścić butów, ale za zamiatanie, które co trzeci dzień powinno było na mnie wypaść, dawałem mu papierosy. I była to zapłata może cenniejsza od pieniędzy, bo więzień musiał kryć przed władzami, że posiada monetę, a więc i nie mógł za nią nic kupić. Ponieważ pozwolenia na palenie sędzia udzielał bardzo wyjątkowo, zatem żołnierz nie mógł mieć nadziei, że mu pozwolą nabyć tytoń ~~z kaw~~ przez kantynę. Przyjmował więc papierosa jako specjał nieco-

niony, aby go w tajemnicy zwierzyć. Z początku wolno było palić podczas przechadzki - potem zakazano. Z wyjątkiem uprzywilejowanych, do których i ja należałem, ~~chociaż nieprawnie~~, nikt nie mógł palić. A było to ~~wi~~ęzienie wyłącznie dla ludzi pozostających w śledztwie, nie zaś ~~skazanych, czy~~ zasądzonych, bo tych natychmiast przewożono do domów karnych.

W pół godziny toaleta korytarza, ludzi i cel musiała być gotowa i klucznik zatrzaskiwał drzwi. Niebawem rozlegał się na korytarzu głos:

– Kaffee holen!

Dyżurni brali opartą o ścianę tacę drewnianą wielkości stołu dużego, układali na niej kamienne garnki i zbiegali po schodach do kuchni. Niezadługo podawano do cel po garnku czarnej kawy i po bochenku chleba na człowieka i na dwa dni. Ale w grudniu chleb był czysto kukurydziany, który w moment zsychał się i pleśniał, więc dawano codziennie po połówce na osobę. Do siódmej śniadanie było skończone i garnki uprzątnięte, bo je dyżurni myli pod kurkiem.

I teraz następowało czekanie. Mówić nie było o czem. Historyę Pospišila słyszeliśmy i nie byliśmy ciekawi jej powtórzenia, chociaż on biedak nie zaniedbywał jej powtarzać. Jeżeli podczas otwarcia drzwi dowiedział się czegoś od któregoś ze współmieszkańców korytarza, to była uczta

duchowa. Słuchało się zarzutów i robiło się przypuszczenia, jaki też może zapaść wyrok

W tej jałowości życia, zanim Biechowiak przywiózł trylogię Sienkiewicza i zanim pozwolono mi na pobieranie gazet, doszliśmy do tego, żeśmy sobie rano opowiadali wzajemnie sny jak stare kumoszki, a nawet próbowali stosować wróżby ludowego wykładania snów.

Około ósmej przynoszono nam z kantyny białą kawę. Od połowy grudnia zabroniono wypiekania bułek i ciast, więc tylko kromeczki chleba cywilnego dostawaliśmy. Nie dla obżarstwa, ale dla urozmaicenia życia, bylibyśmy się tej kawy nie wyrzekli za nic w świecie. Oszczędzaliśmy przez to chleb komisny, który dawaliśmy nazajutrz naszym posługaczom.

A potem znowu czekanie. Czasami dawano nam dwurazową przechadzkę dziennie, po pół godziny za każdym razem. Wtedy po dziewiątej wszczynał się ruch. Czasami jednak była tylko jednorazowa, a czasem żadnej nie było. Regularnie tylko około pół do dziewiątej rozlegał się krzyk klucznika:

– Kohle fassen!

i dyżurni biegli po węgiel, aby od korytarza palić w celach. Palenie to zaprowadzono dopiero w drugim tygodniu grudnia, a pierwej marznęliśmy wśród oszronionych ścian.

Ponieważ u dyżurnych żołnierzy mieliśmy łaskę, więc od czasu, w którym zaczęło ogrzewać aresztu, mieliśmy ciepło, a nawet gorąco w celi. Wyschnęła też szybko jak pieprz.. Około dziesiątej Przewoźnik stukał we drzwi, wołając klucznika, aby zamówić herbatę z rumem dla niego, dla siebie i dla mnie. Pospišila instynktownie nie lubił i rzadko mu fundował. Co prawda, ja się odwzajemniałem, a Pospišil nie.

Po jedenastej znowu krzyk:

– Menage holen.

Poczem w tych samych garnkach co ranną kawę, dostawaliśmy obiad. Ale i ten obiad psuł się z dnia na dzień. Nakoniec nawet rosół stał się podobnym do pomyj, w których pływały kostki żył lub bydlęcego tłuszczu.

Odstępowaliśmy go zazwyczaj dyżurnym, czekając na obiad z kantyny. Ten był w początkach prawie wyśmienity, ale potem psuł się także. Rosół stał się przeźroczysty, do mięsa obcęgami byłoby trudno dobrać się, a leguminy ustały.

I znowu czekanie. Około drugiej wychodziło się na przechadzkę, jeżeli tego dnia była. Egzekucye dwie tylko pamiętam przed południem, za to wszystkie inne około trzeciej po południu. Zazwyczaj klucznik zapowiadał egzekucye i kazał zamykać okna. Nie umiem określić

albo w przybliżeniu oznaczyć tego przykrego uczucia, z jakiem po takiej zapowiedzi czekało się na trzask salwy. Raz zebrało się w więzieniu równocześnie więcej jako pięćdziesiąt kobiet. Okropny był ten jęk niewieści, który równo ze salwą przeniknął wszystkie piętra dużego budynku.

Mimo zakazu stawało się na stołku, ustawionym na stosie sienników i z jakąś grozą odrazy, z niezdrową ciekawością patrzyło się na korowód egzekucyjny. Pamiętam, że Ligocki, patrząc na egzekucyę, zatykał uszy, gdy przychodziło do salwy. Pospisil nie patrzył nigdy na tracenie, natomiast szeroko omawiał sposób, w jaki się odbywa, jak gdyby był mistrzem ceremonii przy tym obrzędzie.

Około szóstej przynoszono kawę więzienną, a około siódmej naszą wieczerzę z kantyny. Rzadka wizytacya zdarzała się najczęściej po czwartej – rotmistrz chodził raz na tydzień około dziewiątej rano.

Koło ósmej wieczorem odbywała się ceremonia apelu. Profos, Cziżek lub feldwebel Brunner stawał przed drzwiami, a klucznik, otworzywszy, dyktował mu: drei Mann, vier Mann, a były celki, w których tłoczono pięciu ludzi. My więc, mimo ścisku, mogliśmy uważać się i pod tym względem za uprzywiljowanych.

Potem rozwłóczyło się sienniki po podłodze i układało się do snu, składając ubrania na płaszczu piecowym, albo

jak ja później na walizce. A tak leżąc, zadawaliśmy sobie pytania, czy też jutro wezwą którego z nas do sądu, co się z nami stać może? Wiecznie powtarzane pytania, codziennie pozostające bez odpowiedzi, a ciągle tak ważne dla każdego, tak palące i tak aktualne.

Czasami leżąc opowiadaliśmy bajki. Pospišil umiał ich najwięcej, takich prawdziwie ludowych klechd. Ja opowiadałem cudze koncepty, lub wyjaśniałem Przewoźnikowi niektóre chwile z dziejów Polski.

Wszystkie niezajęte chwile dnia zapełniły się, gdym głośno czytał trylogię. Puszczaliśmy ją też w obieg i po innych celach. Jeden prawnik, odbywający służbę wojskową jako pisarz przy audytorze, pożyczył mi poezye Schillera. A chociaż ten poeta stracił dla mnie wszelką woń, chociaż dla poezyi wogóle przytępiły mi się zmysły, wyrwawszy od któregoś z towarzyszów ołówek, a od innego kawałek czystego papieru, wytłumaczyłem, i o! zgrozo! wierszem „Rezygnacyę" i „Na przełomie wieków." Wyjaśniałem też z ochotą Pospišilowi „Die Künstler." Przy tej ochoczości zobaczyłem, jak mocno tkwi we mnie żyłka pedagogiczna. Te poezye, od których przed dwudziestu pięciu laty gorzały mi skronie i pałała głowa, zostawiały mnie osobiście zimnym i całkiem obojętnym. Za to, gdy mogłem je wyjaśniać drugiemu, na-

bierałem życia i zapału, dawałem odczuć piękność wyrażenia, trafność ujęcia i prawdę myśli. Może to pedagogia, a może więcowanie: gdy się ma chętnego słuchacza, mówi się z zapałem, bo się lubi przemawiać do drugich i trafiać im do duszy.

Gdy mi pozwolono odbierać gazety, otrzymywałem je rano po ósmej. Przewoźnik brał „Kuryera”, ja rozczytywałem się w „Ostrauer Zeitung” tak, że na spacer byłem już naładowany wiadomościami. Nie dziw, że mnie oczekiwano z niecierpliwością i witano z radością. Śmiesznym był widok dziedzińca więziennego, na którym na pojawienie się innego więźnia kilkadziesiąt głów odkrywało się jakoby na komendę. Ale w celi mało rozprawialiśmy o stronie politycznej i o widokach na przyszłość, bo Przewoźnik nie ufał Pospiszilowi. Zdaje mi się, że niesłusznie.

Z początkiem roku 1915 ja byłem jedyny w całem więzieniu, który zapowiadał, że wojna może potrwać ze trzy lata. Wszyscy inni spodziewali się, że skończy się z wiosną lub w lecie i stawiali szyje, że drugiej kampanii zimowej już nie będzie.